



ALINA ZIÓŁKOWSKA

Dnia 13 grudnia 1971 r. w Łowie Antoni Lamperski, prokurator Prokuratury Powiatowej w Mławie, z udziałem protokolantki Janiny Lapeusz przesłuchiwał niżej wymienioną w charakterze świadka. Świadka uprzedzono o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania, po czym świadek stwierdza własnoręcznym podpisem, że uprzedzono ją o tej odpowiedzialności (art. 172 kpk). Następnie świadek, uprzedzona [również] o treści art. 165 kpk zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko	Alina Ziółkowska
Nazwisko z domu (dla mężatek)	Szymczak
Imiona rodziców	Stanisław i Weronika z d. Łojewska
Data i miejsce urodzenia	11 maja 1918 r. w Uniszkach Zawadzkich
Miejsce zamieszkania	Łowo, [...]
Zajęcie	przy mężu
Wykształcenie	średnie

Jestem mieszkanką Łowa od 1929 r. i przez cały czas okupacji mieszkalam na jego terenie. Z tego tytułu wiedziałam, że w Łowie znajdował się obóz, w którym w początkowym okresie byli przetrzymywani oficerowie Wojska Polskiego. Następnie przebywali tam także Rosjanie i Ukraińcy, a dopiero później był zorganizowany obóz dla dzieci w wieku, moim zdaniem, najwyżej do trzech lat.

Obóz z jego budynkami murowanymi mieścił się u zbiegu ulic Leśnej i Jagiellońskiej. Na [jego] terenie niezależnie od trzech murowanych budynków były pobudowane trzy dalsze baraki. Trzy budynki murowane znajdują się [tam] do dziś. W jednym z nich, usytuowanym wzdłuż ul. Jagiellońskiej, mieści się Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”,

natomiast w [pozostałych] dwóch, położonych wzdłuż ul. Leśnej, są urządzone szkoła zawodowa oraz prywatne mieszkanie.

Obóz był ogrodzony wokół parkanem z siatki i nad siatką znajdowały się druty kolczaste. Niezależnie od tego był strzeżony dzień i noc przez Niemców ubranych w mundury koloru szarego. Każdy z tych dozoruujących był uzbrojony w karabin. Nie orientuję się, czy byli to wojskowi, czy też funkcjonariusze innych formacji, w każdym razie wartownicy rekrutowali się z osób starszych. Według mojej oceny byli to mężczyźni w wieku ok. 50 lat lub nawet ponad 50.

Chciałabym zaznaczyć jedno: na terenie Łowa mieszkali przeważnie Niemcy i z tego powodu ja z racji swego obywatelstwa nie miałam tak szerokiego kontaktu z wszystkimi mieszkańcami, nie mówiąc o władzach. Orientowałam się, że istnieje obóz, że przebywają w nim, jak już zaznaczyłam, jeńcy, wojskowi, początkowo Polacy, następnie Rosjanie. Po prostu sama osobiście poczyniłam te spostrzeżenia i początkowo nawet nie wiedziałam, że na terenie obozu znajduje się obóz, a może podobóz dla dzieci.

Dopiero pod koniec lata chyba 1944 r. nawiązałam zupełnie przypadkowo kontakt z Litwinką ewakuowaną z Wilna, znającą doskonale język polski i od niej dowiedziałam się, że w obozie przebywają niemowlęta i dzieci w wieku do trzech lat. Nazwiska Litwinki nie pamiętam ani też jej imienia, zresztą o imię nie pytałam, bo była to osoba dużo ode mnie starsza i stąd też nie znałam jej imienia ani też nie mówiłam jej po imieniu. Zaznaczam, że Litwinka skończyła przed 1939 r. konserwatorium w Warszawie i dlatego biegle władała językiem polskim. Podkreślała przy tym, że jest jednak Litwinką. Znała też doskonale język niemiecki, jednakże z Polakami nawiązywała chętnie kontakt, bo po prostu nienawidziła Niemców, z czym nie kryła się przede mną. Mimo to odnosiłam się do tej niewiasty z pewną dozą ostrożności. Ostrożność moja była podyktowana obawami, czy przypadkiem nie jest ona nasłana przez Niemców i nie sprawuje przykrej, ale często spotykanej w czasie okupacji roli prowokatora. Stąd też wysłuchiwałam raczej tego, o czym ona mówiła, ale nie starałam się z własnej inicjatywy dopytywać o takie czy inne szczegóły.

Jak zaznaczyłam, zawsze wyrażała się bardzo negatywnie o Niemcach i o systemie rządzenia czy też obchodzenia się z ludnością okupowaną. Pewnego razu przyszła do mnie strasznie wzburzona, a przyczyną tego wzburzenia było to, że jej siostrzenica w wieku 21 lat została

zabrana i wywieziona w pobliże frontu. Mało tego, Litwinka, o której mówię, otrzymała drogą okrężną, tzn. nielegalną, list od siostrzenicy, w którym [ta] opisywała, że jest „zabawką” dla oficerów niemieckich. W dalszej kolejności [Litwinka] powiedziała, że siostrzenica poinformowała ją w tym przemyconym liście, że jeśli zostanie matką, to jej przyszłe urodzone dziecko zostanie jej odebrane i wychowane przez Niemców. Wyrażała w ten sposób podwójną rozpacz, że raz – stanowi „zabawkę” dla oficerów niemieckich, a [dwa] – gdy zostanie matką, nie będzie mogła wychowywać dziecka. Zgodnie z przyjętą przeze mnie taktyką starałam się nie wypowiadać źle pod adresem Niemców i wysłuchawszy jej relacji, odpowiedziałam, że to jest niemożliwe, że w ten sposób Niemcy nie postępują. Ponadto nie mogłam zrozumieć, że tego rodzaju sytuacja mogła mieć miejsce i że te rzeczy mogły być nie tyle tolerowane, ile organizowane. Wówczas Litwinka, aby mnie przekonać, podała przykład Łowa i oświadczyła: „Co pani nie wierzy – przecież w Łowie jest obóz dziecięcy, gdzie znajdują się dzieci odebrane matkom”. To była moja pierwsza konkretna uzyskana wiadomość o istnieniu obozu dziecięcego na terenie Łowa, w miejscu, o którym wspomniałam na wstępie.

Pragnę zaznaczyć, że mieszkałam przy ul. Jagiellońskiej, a mimo to nie zauważyłam, nie widziałam małych dzieci na terenie obozu. Zresztą obóz składał się z sześciu obiektów budowlanych, w tym z trzech baraków, i jeśli dzieci były umieszczane w barakach, tj. za budynkami murowanymi od strony tak ul. Jagiellońskiej, jak Leśnej, nie było widać, [żeby] dzieci chociażby na krótko były wyprowadzane. Owszem, bywały przypadki, że nawet przez parkan podawaliśmy jedzenie, ale odbierały je osoby starsze, przeważnie kobiety, a jeśli znalazły się dzieci, to były one z matkami i pochodziły z Ukrainy. Słyszałam tylko, ale w najogólniejszych zarysach, o istnieniu na terenie obozu lazaretu, ale jego przeznaczenia nie znałam. Znałam i wiedziałam, że na terenie Łowa w czasie okupacji leczył lekarz Marian Knappe. Był on Polakiem i mimo że leczył z polecenia władz niemieckich, utrzymywał, jak tylko mógł, kontakt z Polakami i pomagał im w każdym przypadku.

Wracając jeszcze do Litwinki, chciałabym podkreślić dalszą okoliczność, która nas łączyła. Otóż posiadałam własne pianino i Litwinka z racji wykształcenia muzycznego szukała domu, w którym znajdowało się pianino, i znalazła je u mnie. Przychodziła więc do mnie grać na tym instrumencie. To oczywiście nie podobało się Niemcom, w szczególności *Treuhänderowi* nazwiskiem Wilkop. Spowodował on, że pianino zostało mi odebrane i przekazane SS, które urzędowało w miejscowej plebanii rzymskokatolickiej. Oczywiście zabór pianina odbył się bez żadnej formalności, tj. bez pisemnej decyzji lub innego nakazu. Po prostu przyszli

i zabrali. Instrumentu nie odzyskałam. Po wyzwoleniu zmuszona byłam nabyć nowe, inne pianino, bo sama posiadam umiejętności gry na pianinie.

Mąż mój w tym czasie przebywał w oflagu jako oficer wojsk polskich, natomiast ja przez cały czas okupacji pracowałam jako pracownik fizyczny [w] tzw. stoppkolonie [*Stoppkolonne*]. Stoppkolona jest to zespołowo wykonywana praca przy układaniu, naprawie i konserwacji torów. Z doświadczenia mogę powiedzieć, że jest to jedna z najtrudniejszych prac, jakie można sobie wyobrazić na kolei. Wykonywana była ręcznie i najczęściej sprowadzała się do podbijania torów kilofem. Przez cały czas okupacji z wyjątkiem kilku miesięcy wykonywałam właśnie tę najcięższą pracę.

W ten sposób, najogólniej rzecz biorąc, przedstawiały się moje wiadomości o istnieniu obozu dziecięcego i chociaż były one źródłowymi wiadomościami, nie rozpowszechniałam ich w czasie okupacji w obawie przed Niemcami. Z tej racji, że byłam żoną kierownika szkoły w Łowie, żoną oficera przebywającego w oflagu, byłam obserwowana i stąd też moja ostrożność podyktowana własnym bezpieczeństwem oraz bezpieczeństwem córki, która liczyła w chwili wybuchu wojny półtora roku.

Bezpośrednio po wyzwoleniu sprawdziłam naocznie, osobiście warunki, w jakich były przetrzymywane niemowlęta oraz dzieci w wieku najwyżej do lat trzech. Zaznaczam jednak, że wtedy kiedy udałam się na teren obozu, dzieci i niemowlęta zostały już doprowadzone przez dr. Knappego do jako takiej kultury i przede wszystkim odżywione.

W pierwszej dekadzie lutego dotarłam na teren obozu dziecięcego, nad którym opiekę sprawowały już organizowane władze polskie oraz niezależnie od dr. Knappego siostry zakonne z Płocka. Chociaż nie mogłam podać dokładnej daty, tj. dnia, nie myślę się mimo upływu czasu co do daty zbliżonej, określonej jako pierwsza dekada lutego 1945 r., bo nastąpiło to po wyzwoleniu Łowa, które miało miejsce 18 stycznia 1945 r.

Ta data jest dla mnie ważna nie tylko ze względów czysto historycznych, ale [też] dlatego, że w przeddzień wyzwolenia Niemcy rozstrzelali mego rodzonego brata Zdzisława Szymczaka, liczącego zaledwie 19 lat, podczas masowej egzekucji dokonanej w Mławie na Kalkówce. Razem z bratem na Kalkówce zginęły 364 osoby. Brat mój został zabrany przez Niemców dosłownie na dwa dni przed wyzwoleniem i, jak zaznaczyłam, w przeddzień wyzwolenia, a może nawet na kilka godzin przed wyzwoleniem, rozstrzelany z 364 osobami. Miejsce to,

zwane Kalkówką, znajdowało się na terenie kopalni żwiru tuż za Mławą i obecnie stanowi miejsce upamiętnienia zbrodni hitlerowskich. Na marginesie tej sprawy podaję, że zostali tam rozstrzelane także osoby przypadkowo spotkane i zatrzymane w momencie, gdy doprowadzano więźniów aresztu na miejsce egzekucji. Były tam nawet dzieci, kobiety ciężarne i o przypadkowości świadczyło [m.in.] to, że miały przy sobie nawet siatki z zakupami.

Podaję tę okoliczność, bo niezależnie od swojej własnej wymowy, niewymagającej komentarza, wywarła ona wpływ na przebieg zdarzeń w naszej rodzinie i wiązała się z faktem udania się przeze mnie oraz moją siostrę na teren obozu dziecięcego. Otóż [po tym, jak moja matka straciła syna], moja siostra Leona Byks postanowiła w porozumieniu ze mną wziąć jedno dziecko z tego obozu na wychowanie. Wychodziła z założenia, że [skoro naszą] matka rozpacza po stracie syna, to [siostra] osobiście będzie chować przyjęte na wychowanie dziecko, które w późniejszym czasie, gdy dorośnie, w jakiejś mierze zastąpi [naszej] matce syna Zdzisława, zamordowanego przez Niemców. Być może okoliczność ta w innej sytuacji nie miałaby tak dużego znaczenia, ale w przypadku mojej rodziny miała znaczenie tym większe, że brat Zdzisław był jednym jedynym synem mojej matki Weroniki Szymczak.

Zgodnie z podjętą decyzją i porozumieniem z siostrą udałyśmy się na teren obozu dziecięcego, aby dokonać wyboru i zabrać jedno z niemowląt czy też jedno ze starszych dzieci. Postanowiłyśmy zabrać na wychowanie chłopczyka. W decyzji, którego chłopca mamy wziąć na wychowanie, pomogła następująca okoliczność: w momencie kiedy dokonywałyśmy przeglądu dzieci znajdujących się po dwoje, troje w łóżeczkach, jedno z dzieci, będące w tym czasie na ręku siostry zakonnej, odezwało się do mnie jednym jedynym słowem, które wówczas umiało wypowiedzieć: „mama”, wyciągając rączki w moją stronę. To nas zaskoczyło, a chłopczyk po raz wtóry wypowiedział słowo „mama”. Ta właśnie okoliczność zadecydowała, że siostra wzięła na wychowanie właśnie tego chłopca, a nie innego.

Od siostry zakonnej, której nazwiska nie znam, a które może znać Zielska, wezwana dzisiaj w celu przesłuchania, dowiedziałam się, że Niemcy nadali chłopcu imię Horst, przy czym według tego, co nam powiedziała siostra zakonna, Horst miał [na] nazwisko Marmaitte. Przed podaniem nam tego nazwiska sprawdziła [je] w swoich zapiskach czy też szczątkach dokumentacji obozowej. Nie interesowałam się tym bliżej, czy były to dokumenty, czy też zapiski prowadzone przez siostrę zakonną. Interesowały mnie raczej szczegóły dotyczące pochodzenia dziecka. Niewiele mogłam ustalić, ale z tego, co się dowiedziałam od siostry,

matką Horsta była wysoka, przystojna kobieta. Horst urodził się w Łowie, właśnie w obozie. Został odebrany matce wbrew jej woli przez Niemca, nie pomogła żadna rozpacz i prośby błagalne wznoszone przez matkę Horsta. Chciałyśmy ustalić w oparciu o brzmienie nazwiska, jakiej narodowości była matka Horsta, ale to nam się nie udało. Przypuszczamy, że mogła być bądź Litwinką, bądź też innej narodowości pochodzenia francuskiego. Zresztą nazwisko mogło być trochę zniekształcone. Jednakże tak nam podano. Siostra zakonna była zainteresowana właśnie tym chłopcem; sama, jak nam powiedziała, ustalała bliższe dane o tym chłopcu, o jego dacie urodzenia i ewentualnym pochodzeniu, bo zamierzała go oddać na wychowanie swoim najbliższym, tj. swojej rodzinie. Zgodziła się jednak oddać [dziecko] nam z uwagi na jego przytoczone wyżej zachowanie.

W początkowym okresie nie dokonaliśmy żadnych urzędowych czynności, a nawet chrztu dziecka, bo wyczekiwaliśmy, że może ktoś, a szczególnie matka, zjawi się po nie, ale nie doszło do tego do chwili obecnej. Chłopcu wziętemu na wychowanie z obozu daliśmy imiona Andrzej Zdzisław, przy czym formalnej adopcji dokonaliśmy w 1949 r., kiedy nabraliśmy przekonania, że nikt się po niego nie zgłosi. Osobiście jestem przekonana, że gdyby matka adoptowanego chłopca żyła, to by na pewno wróciła do Łowa przynajmniej po to, aby ustalić miejsce pobytu lub wysłania swego dziecka. Widocznie nie żyje. W tych warunkach Andrzej Zdzisław Szymczak został moim bratem. Postępowanie adopcyjne odbyło się w Sądzie Powiatowym w Działdowie. Tam powinny się znajdować także akta.

W Łowie w podobny sposób jak moja siostra postąpiło wiele osób, przyjmując dzieci z obozu na wychowanie. Wiem, że wychowały i adoptowały dzieci z obozu panie Panek, Szczepańska, Tułodziecka, Maliszewska i inni.

Na tym protokół zakończono jako zgodny z treścią moich wypowiedzi i po odczytaniu podpisano.